

Stanisław Hempel ps. Pankracy 1882-1961

# Wspomnienia bojowca

1905-1910



Przyszła żona Stanisława, Wiktoria z Abłamowiczów herbu *Habdank*, jako młoda dama i sekretarka nielegalnego Związku Zawodowego Metalowców przewoziła dorożką bomby dla zamachowców.

# KRONIKA

## RUCHU REWOLUCYJNEGO W POLSCE

ORGAN STOW. B. WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

KWARTALNIK

POŚWIĘCONY DZIEŁOM WALK  
O NIEPODLEGŁOŚĆ I SOCJALIZM



POD REDAKCJĄ

JANA KRZESŁAWSKIEGO I ADAMA PRÓCHNIKA

Tom. III; Nr. 2 (10). Kwiecień-Czerwiec 1937 r.



I „Bund” na okres akcji wyborczej rozpoczął wydawanie legalnego tygodnika w żargonie pod tyt. „Lebensfragen”. Wydano jednak tylko dwa numery. Ochrona przeprowadzała dość często, w ciągu istnienia pisma, rewizje w redakcji. Redaktora pisma aresztowano, a tygodnik na mocy decyzji warszawskiego sądu przestał istnieć.

Pod koniec roku „Bund” wystąpił z manifestacyjnym pogrzebem swego przywódcy, zmarłego w dniu 19 grudnia w Petersburgu, a pochowanego w Warszawie, Bronisława Grossera („Zelcer” lub „Stawek”). Pogrzeb ten był olbrzymią manifestacją robotniczą w Warszawie. W pogrzebie uczestniczyli oficjalnie, jako przedstawiciele frakcji dumskiej S. D., poseł z Warszawy Jagiello i poseł z Baku Skobelew. Na pogrzeb przysłały władze rosyjskie olbrzymią ilość policji tajnej i mundurowej, lecz wobec dostojnej powagi tłumów robotniczych policja nie prowokowała.

Pracę polityczną wśród żydowskiej młodzieży prowadziła zbliżona politycznie do „Bundu” organizacja *socialdemokratycznej młodzieży żydowskiej* „Przyszłość”. Samodzielnych wystąpień, poza wydawaniem odezw, organizacja ta nie przeprowadzała.

Na tak zwanej „żydowskiej ulicy” prowadziła też agitację t. zw. grupa *Syjanistów Socialistów*, której działalność zewnętrzną ograniczała się do wydawania proklamacyj. (D. c. n.).

× × × ×

Stanisław Hempel

(Pankracy, Rafał, Józef, Izidor)

## Wspomnienia bojowca

(Dokończenie)

### ZAMACH NA NACZELNIKA ZANDARMERII VON PLOTTO

Radomski Komitet Robotniczy zaproponował i polecił Organizacji Bojowej wykonanie zamachu na naczelnika żandarmerii von Plotto, który odznaczał się prześladowaniem więźniów politycznych. Zdecydowałem, że zamach ten ugodzie wykonany przy pomocy bomby i że wykonam go sam przy udziale innych bojowców jako pomocników w wywiadzie i sygnalizacji.

Do współdziałania wybrałem dwóch młodych bojowców z piątki uczniowskiej — Wernera Stanisława, ucznia 7-ej klasy, i Rodkiewicza Stefana. Mieli oni już za sobą pewną praktykę bojową, gdyż pod kierownictwem starszego piątki uczniowskiej tow. Braciszka (Zbrowski Wacław) brali udział w zamachu na szpicla. Zbrowski wtedy siedział już w więzieniu, gdyż na kilka dni przedtem był aresztowany.

Zadaniem Wernera i Rodkiewicza było zrobienie wywiadu, gdzie i kiedy bywa von Plotto i sygnalizowanie o jego zbliżaniu się. Sprowadziłem Łombę do mieszkania Wernera, zaopatrzywszy się przedtem w apteczkę w chloran potasu. Zmieszałem chloran z cukrem i sprawdziłem jego zapalność pod wpływem kwasu siarkowego, gdyż nie znałem tego stosunku.

Zmontowałem zapalę i włożyłem je do pocisku. Był to lśniący pakiet, mający formę pięknie oprawnej książki z dwoma paskami, nabłononymi na krzyż. Przy składaniu pocisku byli obecni i pomagali mi Werner i Rodkiewicz. Nie było to ostrożne.

W sobotę 15-go grudnia we trzech wyruszyliśmy na „robotę”, ale tego dnia nie można nigdzie było spotkać von Plotto. Dowiedzieliśmy się, że zwykle w niedzielę wyjeżdża on sankami na spacer, postanowiłem więc wykorzystać tę okoliczność. W tym celu nazajutrz, w niedzielę 16 grudnia, spotkałem się z Wernerem tylko, gdyż Rodkiewicz tego dnia nie mógł już przyjść.

Von Plotto mieszkał przy ulicy Szerokiej, naprzeciwko sądu, który znajdował się pod osłoną wojska. Stała tam warta składająca się z kilku żołnierzy. Zaczęliśmy się kręcić koło mieszkania von Plotto. Potem stwierdziliśmy, że von Plotto wyjechał już sankami na swój zwykły spacer niedzielny. Nic pozostało nic innego, tylko czekać na jego przejazd, gdy będzie wracał do domu. Wysłałem Wenera na odległość około stu metrów w stronę cerkwi, aby mnie zawiadomił machnięciem chusteczki, gdy von Plotto będzie nadjeżdżał. Ja kręciłem się na rogu ulicy, trzymając bombę w ręku. Po jakimś czasie zauważyłem sygnał Wenera. Byłem całkowicie spokojny i zdecydowany. Postanowiłem sobie, że rzucę bombę na rogu ulicy w chwili, gdy sanki będą zakręcać. W tej chwili zauważyłem obok na chodniku całą grupę 5 czy 6 osób głośno i wesoło rozmawiających po rosyjsku, a wśród nich zauważyłem jednego oficera. Parokonne sanki dorożkarskie zbliżały się szybko. Już oto są na zakręcie. Zrobiłem parę kroków w kierunku sanek i już się nawet zamierzylem, lecz w tej chwili pomyślałem o dorożkarzu i cofnąłem się. Sanki w dalszym ciągu posuwały się w kierunku domu von Plotto, oddalonego od mojego miejsca o pięćdziesiąt kroków. Teraz trzeba było się już spieszyć; czasu był już mało, więc pędem zacząłem się zbliżać w kierunku bramy domu.

Von Plotto wysiadł z sanek i płacił dorożkarzowi. To pozwoliło mi zdążyć pod bramę. Wyczekałem, aż zaplacl. Widzę, że idzie w kierunku furki bramy, bierze za klamkę, widzę jego popielatą postać i długie oficerskie buty. Stałem od niego już tylko na osiem metrów. A teraz zamachnięcie prawą ręką w tył i puszcza pocisk, mierząc w nogi. Widzę, jak pakunek zawinięty w gazetę leci i uderza w oficerskie buty. Pod wpływem uderzenia w nogę von Plotto podnosi ją i w tej chwili zobaczyłem jasną plamę ze smugami świetlnymi jakby promienie. W tejże chwili poczułem jak gdyby silne pchnięcie w tył. A teraz czuję, że leżę na chodniku i deszcz jakichś kawałków sypie mi się na głowę. Nie widzę dobrze, czuję coś w oczach, co nie pozwala mi widzieć. Nagle pojmuję sytuację, więc najpierw odchyłam lewą ręką powiekę lewego oka i teraz dopiero widzę, że jestem cały zasypany odłamkami szkła. Zerwałem się na nogi, chwyciłem brauning w prawą rękę i zaczynam biec. Zauważyłem już wybiegających z bramy żołnierzy, gdzie mieścił się sąd. Teraz już biegłem z całych sił. Żołnierze zaczęli strzelać w moim kierunku. Słyszałem świst kul koło mnie. Biegłem ukośnie przez ulicę, żeby jak najprędzej dobiec rogu ulicy. Nareszcie już jestem za rogiem i kule nie gwizdzą. Widzę po prawej stronie niski parkan, jednym podciągnięciem przesadziłem go i upadłem na śnieg. Teraz dopiero zamroczyło mnie. Zrobiło mi się



ciemno w oczach, ale poczułem na twarzy zimny mokry śnieg. To ocuciło mnie. Zacząłem ścierać śniegiem krew z twarzy i przemywać zapuchnięte powieki. Podniosłem się i już spokojnie poszedłem dalej przez pole, licząc, że zmyliłem pogoń. Poszedłem aleją koło kolei w stronę dzielnicy za przejazdem. Nie było obmyślane, u kogo mam się ukryć. Obecność moja na ulicy wzbudzała ogólną uwagę, bo byłem bez czapki i całą twarz miałem zakrwawioną, a oczy zapuchnięte i dookoła czarne. Po wybuchu, który wszędzie było słychać, ludzie masami wybiegli na ulicę i patrzyli na mnie. W tym stanął przedemną znajomy mi robotnicarz, który zaraz dał mi czapkę, otarł mi chustką twarz i poprowadził bocznymi uliczkami, gdzie mieszkali robotnicy. Tak weszliśmy do mieszkania Czerwień (Domańskiego). Oboje Domańscy zajęli się opatrzeniem mi twarzy i uszów, gdzie byłem najwięcej pokaleczony spadającymi odtłankami szkła z okien piętrowej kamienicy.

Zakleili mi ranki bibułką od papierosów. Przyszedł któryś z instruktorów bojowych, którego zaraz wyprawiłem do mojego mieszkania po bicliznę i palto. Zmieniłem zakrwawioną koszulę, włożyłem jakąś wielką baranicę, baranią czapkę i razem z Czerwień wyszliśmy, żeby przenieść się w inną dzielnicę, bo było już niebezpiecznie przedłużać tam mój pobyt. Wyszliśmy w pola za miasto i obchodząc przedostaliśmy się szczęśliwie w dzielnicę koło cmentarza, gdzie Czerwień ulokował mnie w małym domku u dorożkarza. Gdy już wieczorem położyłem się spać, usłyszałem rozmowę powracającego z miasta dorożkarza. Usłyszałem, jak mówił, że sprawcę — jakiegoś młodego ucznia — złapali. Domyśliłem się, że to mowa o Wernerze. Jeżeli to prawda, to chyba nie ma ludzkiej siły, która mogłaby wyrwać go z rąk policji. Zasnąłem, myśląc ciągle o Wernerze. Następnego dnia również przesiedziałem w mojej kryjówce. Pod wieczór przyszedł ktoś z towarzyszy i zawiadomił mnie, że w Radomiu wielkie poszukiwania, że na kolei i na drogach pod Radomiem bardzo pilnują. Więc można będzie wyjechać z Radomia tylko w nocy i to pociągami towarowymi, wskakując w biegu do brankardu. Miało ze mną uciekać z Radomia jeszcze kilku innych, a więc Łysy (Dąbrowski), Rodkiewicz, Anusz, Jeziorowski Konrad i Jarząbkiewicz (ps. Krystyn). Koło dziewiątej wieczorem wyszedłem i poszedłem przez miasto na dworzec towarowy. Potem przyszli i inni. Kolejarze zajmowali się naszym wyjazdem. Zaczął przechodzić powoli jakiś pociąg towarowy. Dano nam znać, żeby skakać do niego. Wskoczyłem na mostek wagonu towarowego i ktoś jeszcze za mną. Zaraz położyliśmy się na podłodze, żeby nas nie było widać na przejeździe kolejowym, gdzie podobno stała policja z kozakami. Przejeżdżając przez przejazd, widzieliśmy postacie policji i kozaków, patrzących na pociąg, ale nas nie zauważyli. Na szczęście było bardzo ciemno. Pojechaliliśmy w stronę Jedni. Była to mała stacyjka. Tu zatrzymaliśmy się w budce u stróża kolejowego. Ktoś z naszych poszedł kupić bilety do Koluszek na pociąg, idący przez Radom. Więc trzeba było znowu tam przejeżdżać. Ja miałem jechać z Rodkiewiczem drugą klasą. Odrazu położyłem się na górnej podnoszonej półce, żeby w Radomiu udawać pasażera, jadącego już dawno. Miałem dobre przeczucie. Zaraz po zatrzymaniu się pociągu w Radomiu weszło kilku żandarmów do wagonu i dokładnie przyglądali się jadącej publiczności. Do mnie też zajrzeli na półkę, ale widząc, że śpię, odeszli. Odetchnąłem. Jechaliśmy do

Warszawy; w Koluszkach przesiadaliśmy się na inny pociąg. Trzeba było tam czekać parę godzin. Ponieważ publiczności w nocy było mało, cała nasza grupka uciekinierów łatwo mogła zwrócić uwagę, tym bardziej, że miałem bardzo podsiniałe oczy. Kręciliśmy się po dworcu, chodząc oddzielnie. Dojechalismy szczęśliwie do Warszawy. Poszedłem do Bornsteinów, których bliżej znałem i wiedziałem, że mnie przenocują.

Ponieważ kadłem był tak małym miastem wtedy, a ja po zamachu zgubiłem czapkę, więc miałem przypuszczenie, że policja trafi na mój ślad, tym bardziej, że mieszkałem niedaleko miejsca zamachu. Nie poszedłem więc już do matki.

Jak mi potem opowiadano, rzeczywiście policja zaraz trafiła na mój ślad i wnet poszła do mojego mieszkania. Skonfiskowano wszystkie tam znajdujące się rzeczy, a gospodynię, panią Gacką, aresztowano. Nie pamiętam już, jak prędko policja trafiła do mieszkania mojej matki w Warszawie, ale w każdym razie dosyć prędko zawiadomiono mnie, że poszukują mnie ciągle w domu u matki. Od tego czasu policja ciągle co jakiś czas przychodziła w nocy z rewizją do matki.

Stwierdzić mogę, że Werner znał adres mojego mieszkania, znał wiele faktów z bojówki uczniowskiej i wiele osób z organizacji, jednak żadnej tajemnicy nie zdradził, dlatego też po jego aresztowaniu i osądzeniu nie było żadnych następnych aresztowań. Jeżeli nawet w swych zeznaniach i podał mój pseudonim, to nie mogło to mieć żadnego wpływu na dalszy bieg śledztwa. Zachował się, jak prawdziwy bohater rewolucjonista, który pomimo swego młodego wieku (17 lat) do końca panował nad nerwami.

Jak wynika z protokołu, sąd wojenny odbył się w nocy z 19 na 20 grudnia. Po sądzie napisał Werner już dziś słynny list pożegnalny do matki. List ten, świadczący o wielkim uczuciu synowskim i wielkim hartie rewolucyjnym, najlepiej charakteryzuje wielką postać Wernera. Cześć jego pamięci! (Fotografia Wernera zamieszczona w 12-tym numerze Kroniki Rewolucyjnej pochodzi nie z okresu zamachu, ale o wiele wcześniejszego).

Postać Stanisława Wernera zarysowała się na tle radomskiego ruchu rewolucyjnego, w którym młodzież szkolna odegrała tak wybitną rolę. Porwana ogólnym ruchem rewolucyjnym, przyłączyła się młodzież do manifestacji ulicznych. W lutym 1905 roku giną od kul żołdactwa dwaj szesnastoletni uczniowie Stanisław Rodkiewicz (4-ta klasa) i Józef Szokalski (5-ta klasa). W tymże roku 7 października osiemnastoletni Stanisław Zbrowski dokonywa nieudanego zamachu bombą, która nie wybuchła, na oficera Zabiełłę, z którego rozkazu wojsko strzelało do robotników w Skartysku.

Zbrowski po rzuceniu bomby zastrzelił policjanta Kandaurowa, poczym sam strzelił do siebie i padł martwy z okrzykiem: „Niech żyje Polska!”. Radom, wstrząśnięty tym wydarzeniem, zmanifestował zbrojnie, budując barykady.

W 1905 roku brat Stanisława, Wacław Zbrowski (obecny ppłk. Wojsk Pol. i legionista), ówczesny uczeń klasy czwartej, jako członek Org. Bojowej tworzył piątkę bojową, w której sam zostaje starszym i do której należeli również uczniowie „Handłówki”: Jerzy Pieczynis, Stefan Rodkiewicz, Roman Machnicki, Teodor Łatomski, Jan Gruszczyński i Stanisław Werner.

Zbrowski sam<sup>1</sup> wspólnie ze swymi młodocianymi towarzyszami dokonał szeregu udanych zamachów na policjantów, szpiclów i żandarmów. Czyny te stanowią chlubę polskiej młodzieży.

Zbrowski po wyjściu z więzienia stał się mścicielem Wenera i w kilka miesięcy po jego straceniu zastrzelił pod oknami mieszkania pani Wenerowej kapitana Samsonowa, który dowodził rozstrzelaniem Wenera. Nieznaną jest mogiła znanego bohatera Wenera, który został rozstrzelany w lesie Kapturskim pod Radomiem w dniu 20 grudnia 1906 roku. Władze moskiewskie nakazały zatarcie śladów jego mogiły.

Policja, która przychodziła do mojej matki, prawdopodobnie chciała dostać moją korespondencję, ażeby dowiedzieć się, gdzie przebywam. Matka mówiła im, że wyjechałem do Ameryki, i nie zna mojego adresu. Pazu jednego policja trafiła na zebranie towarzyskie u matki. Pomimo, że byli to ludzie, którzy nigdy nie mieli wspólnego z polityką a tym bardziej rewolucją, zostali odprowadzeni do cyrkułu, gdzie ich przetrzymano całą noc.

Po zamachu radomskim, pracowałem w bojówce jeszcze przeszło pół roku w Łodzi. Policji nie udało się mnie tam aresztować, gdyż bardzo nieinteligentnie prowadziła śledztwo i poszukiwania.

Gdy aresztowano moją krewną, Wandę Hemplówną, działaczkę pepe-sową, podczas przesłuchiwania jej na śledztwie postawiono naprzeciw niej na stole powiększenie któreś z moich fotografii. W toku badania zapytano ją znenacka, czy czasem nie wie, gdzie się znajduje ten pan, którego napcwno dobrze zna.

Przyjechawszy do Warszawy, musiałem zachowywać się ostrożnie z powodu moich podbitych oczów, które bardzo podejrzanie wyglądały. Przenocowałem u Bornsteinów. Rozbierając się, dopiero zauważyłem, że mam ciało nabite odłamkami bomby. Zaopatrzywszy się w igłę, wydobylem ze trzydziści małych kawałków mosiądzu. Prawą dłoń całą miałem nabitą masą drobnych jak mak kawałków — tego nie dało się już usunąć. W prawym oku miałem wbity kawałek odłamka wielkości trzech milimetrów. Pomimo obcego ciała w oku, po tygodniu widziałem normalnie.

Kupiłem sobie ciemne okulary, żeby zakryć ciemne plamy pod oczami. Unikałem widzenia się ze znajomymi, gdyż bardzo podejrzanie wyglądałem. Trzeba było wymyślać różne historie o przyczynie tych plam.

Dla doprowadzenia mojej twarzy do porządku wyjechałem na wieś do Petrykóz pod Mławę do mojego kolegi Jerzego Bogustawskiego.

Wróciłem potem do Warszawy, lecz było niemożliwością odwiedzenie rodziny. W domu matki ciągle mnie poszukiwali i z tego powodu mieszkanie było stałe szpiclowane. Prosiłem więc moich znajomych, żeby zaprosili do siebie matkę i siostrę. W ten sposób mogłem choć na krótko zobaczyć dawno niewidzianą rodzinę. Brat już emigrował zagranicę.

## PRZYJAZD DO ŁODZI I ORGANIZACJA MILICJI

Po skomunikowaniu się z CKR-em P.P.S. Lewicy otrzymałem polecenie udania się do Łodzi dla przeorganizowania tamtejszej O. B. na milicję o szerszym zakresie. W Łodzi głównym kierownikiem roboty był wtedy Witold Trzeński. Byli jeszcze wtedy tam na robocie Marek (Bańkowski Julian), bracia Strzeleccy Jan i Władysław, Szczepanik Adam i inni. Z nie-



wiał była Bronka (obecnie Heryngowa), Wanda (później Szapirowa), obie nieżyjące i Jadwiga Herynzanka.

Do Łodzi przyjechałem w początkach stycznia. Wynająłem mieszkanie na ulicy Wólczańskiej 275 na pierwszym piętrze, gdzie z początku mieszkalem w jednym pokoju z jakimś nieznanym mi Żydem. Przez stosunkowo partyjne zostałem fikcyjnie przyjęty na posadę u adwokata Mogilnickiego, ażeby przed policją móc wytłumaczyć przyczynę pobytu w Łodzi. Otrzymałem fałszywy paszport na nazwisko Fijałkowskiego trzech imion Waleriana Adama Wacława, mieszkańca Pabianic. Pod tym nazwiskiem przebyłem sześć miesięcy, nie zmieniając mieszkania. Jednak, mając za sobą grubą sprawę radomską, musiałem się bardzo konspirować. Po ulicy Piotrkowskiej nigdy nie chodziłem, a tylko ulicami bocznymi. Kupiłem sobie melonik, używany wtedy bardzo w Łodzi, ażeby przystosować się do miejscowego tła. Nosiłem też okulary z czystego szkła, co podobno tylko dodawało mi bardziej podejrzany wygląd. Przez cały czas pobytu w Łodzi miałem zupełnie spokój.

Przyjazd mój do Łodzi (pierwsze dni stycznia 1907) wypadł w trzecim tygodniu lokautu w przemyśle tkackim). Nędza już na dobre zaczęła zaglądać do rodzin robotniczych. Zima była ciężka, były wielkie mrozy. Pamiętam, gdy przychodziłem do mieszkania robotniczego, nawet w południe nie widziało się ognia w piecu kuchennym, był zimny. A jednak robotnicy mogli w każdej chwili powrócić do pracy, trzeba było tylko zgodzić się na wydalenie 95 swych towarzyszy pracy. Honor robotniczy na to nie pozwalał, więc głodzili się. Opór ten nie był nawet dziełem partii, był to jakiś instynktowny odruch samoobrony masowej.

Zainstalowawszy się, przystąpiłem do organizowania milicji. Jaki miał być dalszy plan i cel tej milicji w pojęciu ówczesnej lewicy P.P.S. trudno mi jest na to odpowiedzieć. Zdaje się, że sprawa ta nie była omawiana ani na IX Zjeździe partyjnym, ani też na żadnej Radzie Partyjnej. Trzeba było coś dać robotnikom, wzamian za Organizację Bojową, której byli zwolennikami.

Wszak dotąd VIII Zjazd (luty 1905), I Rada Partyjna (czerwiec 1905), i III-cia Rada Partyjna stwierdzały potrzebę przygotowania bojowego klasy robotniczej, więc siłą faktów trzeba było utrzymać tę linię. Decyzja organizowania milicji, która faktycznie była tą samą bojówką, stanowiła kompromis na rzecz opinii robotniczej.

Trzecia rada (czerwiec 1906) wyraźnie mówiła, jakie są zadania Wydziału. a) uzbrojenie i ubojowanie organizacji; b) popularyzacja wiadomości fachowych, c) dostarczenie towarzyszy wykształconych fachowo; d) ujednostajnienie akcji bojowej na całym terenie kraju; e) przygotowanie planu akcji bojowej. Obecnie po trzydziestu latach widzę, jak słusznym było moje stanowisko na IX Zjeździe, gdy, krytykując nieorganizacyjne zachowanie się Wydziału Bojowego, jednocześnie występowałem przeciwko rezolucji, usuwającej Wydział z partii. Widzę również, że powodowanie rozłamu w okresie zbliżającej się reakcji było szkodliwe dla ówczesnego ruchu robotniczego. Z pełną wiarą w potrzebę milicji przystąpiłem do roboty.

We wszystkich dzielnicach pozakładałem organizacje milicyjne, złożone z szóstek na wzór dawnej Org. Boj. Wyszkoiliłem najpierw instruktorów i zebrałem wszystkich dawnych bojowców. W Łodzi wtedy mieliśmy dużo

swobody ruchów, jak zwykle w wielkim mieście. Ćwiczenia bojowe prowadziliśmy często w salach fabrycznych. Charakterystycznym dla ówczesnych stosunków w Łodzi było, że można było przeprowadzać strzelanie z brauninga w sali, zastawionej maszynami tkackimi w ruchu, przy których pracowały robotnice. A więc wielka sala z warsztatami tkackimi z robotnicami, a my pośrodku ustawiamy cel i strzelamy.

W tych czasach nie uważało się to za niesłowne, ale za rzecz zupełnie naturalną. Taki był wtedy nastrój, że nikt nie mógł w fabryce się nam sprzeciwić. Byliśmy wtedy faktycznie panami sytuacji w fabrykach. Były to stosunki naprawdę rewolucyjne.

Przeprowadzaliśmy też ćwiczenia polowe i strzelania w lesie w okolicy Pabianic. Raz strzelaliśmy z mauserów, a ponieważ były to strzały bardzo głośne, miejscowa policja sprowadziła wojsko, które zaczęło nas okrążać. Na szczęście wystawione posterunki zawiadomiły nas w porę i zdołaliśmy się wycofać.

Nasza organizacja milicyjna bardzo się rozrosła. W samym tylko mieście mieliśmy do 500 milicjantów we wszystkich dzielnicach.

## WALKI BRATOBÓJCZE W ŁODZI

Marzec, kwiecień i maj 1907 roku w Łodzi — to najokropniejszy okres upadku i demoralizacji ruchu rewolucyjnego w Polsce. Pod wpływem poczucia w nasach robotniczych słabości rewolucji i lokautu, który trwał dwadzieścia tygodni, rozpoczęła się reakcja polityczna. Wyrazem tego był rozwój Narodowego Związku Robotniczego i rozwój prowokacji wśród robotników. W umysłach mas robotniczych nastąpił jakiś przewrót, który sprawiał, że to, co dotychczas dla nich było świętym, teraz krytykowali. Ten nastrój nie był powszechny, ale porwał część opinii robotniczej, co dało podłoże do walk bratobójczych. Słynne było powiedzenie Romana Dmowskiego na wiecu w Warszawie, że dla poparcia ruchu narodowego nie zawahali się oni przelać krew robotniczą.

Na ulicach Łodzi zjawili się robotnicy w amarantowych krawatach. Ruch ten, który wykorzystywał nastroje upadku ruchu rewolucyjnego, przybrał formy legalne i wyraźnie był tolerowany przez rząd carski. Na ulicy Piotrkowskiej narodowcy mieli swój dom, gdzie mogli zbierać się jawnie. Rozpoczęło się od wzajemnego wyrzucania się z fabryk i na tym tle rozpoczęły się krwawe napaści na socjalistów.

Codziennie padały trupy. My, socjaliści, nigdy nie byliśmy pewni, czy na ulicy nie strzelą nam w plecy. Robotnicy socjalistyczni zwracali się do partii, żeby w podobny sposób wystąpić przeciwko narodowcom.

Pamiętam posiedzenie komitetu dzielnicowego Bałut, kiedy robotnicy płacząc błagali, żeby im wydać broń i pozwolić się bronić. My, kierownicy ówczesnego ruchu rewolucyjnego, licząc się, że odwet powiększy tylko rozlew krwi, stanowczo opieraliśmy się temu.

W jednym dniu padło raz osiemnaście ofiar, przeważnie z naszej strony. Wreszcie nasi robotnicy zaczęli się wylamywać z zakazu i też zaczęli uprawiać terror przeciwko robotnikom narodowcom. Wreszcie nasze władze partyjne zdecydowały się odpowiedzieć zbrojnie na akcję narodowców.

Otrzymałem polecenie wysadzenia dwóch domów na Bałutach, — gniazda, skąd wychodziły zawsze bojówki endeckie na mordowanie socjalistów. Przygotowaliśmy dwie paczki dynamitu po dwa czy trzy kilo i w nocy wywaliśmy te obydwa domy. Przy tych eksplozjach nikt nie zginął, ale efekt był ogromny. Od tego dnia terror endecki ustał. Sami potem zwrócili się o zaprzestanie walk. Odbyły się potem konferencje z narodowcami i wreszcie walki te się skończyły.

W czasie tych walk bratobójczych Bałuty wyglądały, jak obóz wojenny, ludzie formalnie obawiali się wychodzić na ulicę. Żeby dostać się do śródmieścia, tworzyły się grupy po sto osób, które pod osłoną swoich bojowców odważały się wyjść na ulicę.

Dla ochrony naszych ludzi ruszyłem z czterema szóstkami na Bałuty. Dla bezpieczeństwa pojechaliśmy ze śródmieścia tramwajem. Dojeżdżając do końcowego przystanku na Bałutach, zobaczyłem, że jest on otoczony wojskiem i policją, widocznie dla rewidowania przyjeżdżających. Policja szukała broni. Byliśmy wszyscy uzbrojeni, mieliśmy dwa wyjścia, albo oddać się w ręce policji, albo też stoczyć z nimi walkę. Wybrałem to ostatnie. Dałem znać moim ludziom, żeby uważali na moją komendę. Zdecydowanie całemi grupami wysiadaliśmy z tramwaju. Policja odrazu zorientowała się, że ma do czynienia z liczną grupą uzbrojoną i że lepiej nas nie zaczepiać. Odeszliśmy spokojnie.

W samym środku Bałut ulokowaliśmy się w jakimś piętrowym domu, skąd był widok na sąsiednie ulice. Wysłałem patrole na sąsiednie ulice. Przybycie naszego oddziału podziałało uspokajająco i w tym dniu nie doszło do żadnych morderstw na Bałutach. Tak przesiedzieliśmy do nocy. Teraz należało się wycofać do środka miasta. Nie było to rzecz łatwa. W środku Bałut nie było ani policji, ani wojska, natomiast stali oni na skrajach i tam rewidowali i aresztowali.

Wydostaliśmy się na ulicę Konstantynowską koło cmentarza. Tu zagroził nam drogę oddział wojska i policji. W ciemności zobaczyliśmy raptownie cały ich szereg przed nami, odrazu cofnęliśmy się. Uciekaliśmy na cmentarz. Biegając między grobami, dostaliśmy się do muru, przez który wydostaliśmy się na pole. Po długim błąkaniu się po przedmieściach w nocy dostaliśmy się do swych domów.

Po uspokojeniu się walk bratobójczych P. P. S. wydała odezwę, połączającą walki bratobójcze. Esdekom bardzo się ta odezwa nie podobała. Twierdzili oni, że jest kompromisowa. Lecz my nie chcieliśmy już jątrzyć.

Tem walk bratobójczych w całym kraju była chęć endecji do stoczenia siłami robotniczymi walki z robotnikami socjalistycznymi przy użyciu broni. To nie była żywiołowa walka między robotnikami, ale planowo zorganizowana przez kierowników endeckich walka z socjalizmem.

#### UPADEK REWOLUCJI, ROZWÓJ PROWOKACJI I ZAMACH NA BRACI FREMLÓW

Pierwszą połowę roku 1907 charakteryzuje powolny upadek ruchu rewolucyjnego w całym państwie carów. Początkowa masowość i żywiołowość ruchu zaczęła się rozbijać o zdecydowany sprzeciw sił



rządowych, które coraz lepiej zaczęły się organizować do walki z rewolucją. Policja i żandarmeria zaczęły się już orientować w słabych stronach ruchu rewolucyjnego. Przede wszystkim zaczęto od pozyskiwania dla wywiadu jednostek słabych i zmęczonych rewolucją. Biciem i groźbami zdołano zmusić do zeznań aresztowanych rewolucjonistów. W Łodzi wtłoczy zaczęli grasować Niemcy, bracia Fremłowie, Ryszard i August, esdęcy, znający doskonale stosunki organizacyjne zarówno w SD, jak w PPS. Dołączył się jeszcze jakiś trzeci prowokator. Powstał w Łodzi formalny popłoch wśród wszystkich organizacji rewolucyjnych. Trójka tych prowokatorów chodziła cały dzień po Łodzi pod silną ochroną policji i wojska i wylapywała wszystkich znajomych im rewolucjonistów. Sytuacja była fatalna; trzeba było koniecznie usunąć prowokatorów i w ten sposób unieszkodliwić ich. Otrzymałem od Łódzkiego Komitetu Robotniczego (LKR) polecenie zajęcia się energicznie tą sprawą, gdyż groziły dalsze wielkie wsypy, a nawet rozbić organizację.

Wywiad nie wiele dał mi do przeprowadzenia akcji. Dowiedziałem się tylko, że prowocy mieszkają w biurze żandarmerii i że rano z całym oddziałem policji i wojska wychodzą na miasto na swój połów. Przy takiej ochronie nie można było zaczepiać ich, jak tylko z brauningiem w rękę. Całe towarzystwo chodziło w ten sposób, że po obydwóch stronach ulicy szli luźno rozstawieni żołnierze, a pośrodku znajdowała się policja i prowocy. Dostęp więc do nich był trudny. Zdecydowałem się na użycie bomby. Mieliśmy na naszym bojowym składzie dynamit, więc było z czego zrobić pocisk. U towarzyszy zamówiłem odpowiednich wymiarów pudełko blaszane. Do takiego pudełka wstawiłem dwa przygotowane zapaly rurkowe w pozycji T, wyjąłem dynamit z opakowania i ułożyłem, ugniatając go pomiędzy rurkami. Wszystko owinałem w papier gazetowy i obwiązałem sznurkiem. Był to pakunek dosyć podejrzanie wyglądający. Dobrałem sobie trzech towarzyszy i ruszyliśmy na miasto szukać Fremłów. Na przodzie szło dwóch jako wywiadowców, a w odległości 30 kroków ja z bombą i drugi towarzysz. Zdecydowałem się sam rzucić bombę, gdyż nie lubiłem wystugiwać się innymi. W ten sposób spacerowaliśmy po Łodzi dwa dni, nie mogąc spotkać Fremłów. Raz tylko na ulicy Konstantynowskiej, wychodząc zza rogu ulicy, wpadliśmy na nich. Nagle znalazłem się na parę kroków przed Fremłami, otoczonymi policją i wojskiem. Wszystko to trwało tak krótko, że nie mogłem zorientować się w sytuacji. Fremłowie spojrzeli na mnie i przeszli dalej, czekałem tylko momentu, kiedy każą podnieść ręce do góry. Mnie widocznie nie znali, ani towarzyszących mi towarzyszy, przeszli więc spokojnie, nie zaczepiając nas.

Po powrocie do domu postanowiłem zupełnie zmienić cały swój plan akcji. Doszedłem do przekonania, że branie do pomocy innych ludzi nie jest konieczne a tylko komplikuje sprawę. Przypomniałem sobie zamach mój na von Płotto w Radomiu, gdzie zginął Stanisław Werner, biorący udział w zainach jako wywiadowca.

Postanowiłem iść zupełnie sam, bez żadnej ochrony. Po zamachu trzeba usunąć się, szybko zapadając się wprost pod ziemię. Trzeba bezczelnie wejść w sam krąg ochrony wojskowej, rzucić pocisk i korzystając

z zamieszauła uciec, wpaść do bramy, a stamtąd przez podwórko dostać się na inną ulicę. Trzeba zamachu dokonać tam, gdzie można przygotować ucieczkę, a gdzie prowocy muszą przyjść. Takim właśnie miejscem był budynek żandarmerii przy ulicy Konstantynowskiej, gdzie Fremlowie mieszkali i skąd rano wychodzili. Zbadałem wszystkie ulice, sąsiadujące z budynkiem żandarmerii. Sytuacja była bardzo trudna. Już sam budynek żandarmerii był pilnowany przez wartę wojskową, a naprzeciw mieściły się koszary kozackie. W stronę ulicy Piotrkowskiej na Konstantynowskiej były biura cyrkułu, z wartą przed domem. W drugim kierunku Konstantynowskiej ulicy mieściły się koszary piechoty. A więc miejsce, gdzie można było dokonać zamachu, znajdowało się w punkcie, otoczonym przez najrozmaitsze warty wojskowe i policyjne.

Zbadałem domy, znajdujące się obok żandarmerii, i znalazłem tam dom, z bramy którego można było się dostać na sąsiednią ulicę. Z tej znowu przez inne podwórko można było dostać się jeszcze na podwórko w domach Łoznańskiego i stamtąd na ulicę Poznańskiego. Teren był dobrze przestudiowany, nie można było więc zwlekać. Postanowiłem zatem nazajutrz dokonać zamachu. Bardzo ważną okolicznością było, że do stałem od któregoś z towarzyszy mieszkanie akurat naprzeciwko żandarmerii, na drugim piętrze. Stąd można było spokojnie obserwować wyjscie prowoków.

Rano koło godz. 8-ej byłem już na posterunku w tym mieszkaniu naprzeciw żandarmerii. Pamiętam, że w mieszkaniu były jakieś młode panienki, z którymi prowadziłem wesołą rozmowę. One wiedziały o mającym zaraz odbyć się zamachu, pomagały mi w obserwowaniu ulicy przez okno, śledząc, czy prowokatorzy nie wychodzą. Nauczony praktyką radomską, miałem czapkę na gumce, żeby podczas wybuchu nie zgubić jej.

Nagle zauważyliśmy, że zaczęli wychodzić żołnierze i ustawiać się luźnym szeregiem na ulicy. Prędko zabrałem bombę i wyszedłem na ulicę. Podczas schodzenia z drugiego piętra cała banda przeszła już koło domu, w którym na nich oczekiwałem, i szła w kierunku ulicy Piotrkowskiej. Miałem teraz na ulicy z jednej strony cyrkuł policyjny, a za sobą żandarmerię i kozaków. A więc punkt zamachu był dobrze obstawiony. Trzeba było liczyć się z tym, że po zamachu cała masa wojska i policji od razu znajdzie się na ulicy i ucieczka będzie uniemożliwiona. Mój plan jednak nie przewidywał ucieczki przez ulicę, ale przez bramy i podwórka. Trzeba było tylko szybko wycofać się z pierścienia żołnierzy.

Zobaczyłem, że Fremlowie idą po lewej stronie ulicy trotuarem w towarzystwie kilku komisarzy policji i żandarmów; było ich tam razem chyba ze szczęściem. Po prawym i po lewym trotuarze ulicy szło kilkunastu żołnierzy z karabinami na ramionach. Minąłem żołnierzy, przechodząc obok nich. Podszedłem do Fremłowa na jakie osiem kroków i rzuciłem pocisk. Rzuciłem, wystawiwszy prawą nogę naprzód, i po rzuceniu szybko zrobiłem zwrot w lewo. W ten sposób gazy wybuchowe uderzyły mnie w płuca, a nie w twarz i w oczy, jak mi się właśnie zdarzyło w Radomiu. Utrzymałem się na nogach. Zacząłem od razu biec; po drodze musiałem odepchnąć żołnierza, który stał mi na drodze. W tym momencie byli oni jeszcze oszołomieni i nie myśleli o łapaniu sprawcy. Wycofałem się szczęśliwie z ochrony wojskowej, gdyż inni żołnierze też nie mieli czasu zorientować się w sytuacji. Wpadłem zaraz do uprzed-

nie upatrzonej bramy; tu schwycił mnie wóół jakiś człowiek, ale już miałem w rękę brauning, którym odepchnąłem go silnie. Pobiegłem wgląd podwórka, tam przeskoczyłem przez płot na pusty plac. Przebiegłem przez ten plac i znowu przeskoczyłem przez płot na ulicę. Odrązu znalazłem się obok dwóch policjantów, którzy po wybuchu widocznie zatrzymali się i rozglądali. Widząc mnie przechodzącego przez płot, uznali za najwłaściwsze obrócić się tyłem do mnie. Przebiegłem przez ulicę i wszedłem do bramy, którą przedtem już sobie obrałem. Tam w podwórku wdrapałem się na jakiś budynek, z którego dostałem się na wysoki płot, a stamtąd z dosyć dużej wysokości spuściłem się na puste podwórko domów robotniczych Poznańskiego. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że plac ten był bez wyjścia. Nie było nigdzie bramy ani furtki. Tego nie spodziewałem się. Trzeba było uciekać przez mieszkania bocznych domów. Niewiele myśląc, wszedłem przez okno do jakiegoś mieszkania. Znajdująca się tam kobieta była dosyć zdziwiona tą nieoczekiwaną wizytą, więc przeprosiłem, że „omyliłem się“. Wszedłem śmiało do drugiego pokoju, potem do kuchni i znalazłem się w sieni, a potem na podwórku. Wyszedłem na ulicę Poznańskiego, gdzie spotkałem trzech znajomych mi robotarzy, którzy, domyślając się, że uciekam po zamachu, ofiarowali mi swoją pomoc w dalszej ucieczce. Nie zwracając na nich uwagi, zacząłem biec wzdłuż ulicy, bo zauważyłem, że jest tam duży popłoch. Za mną zaczęli biec zupełnie niepotrzebnie moi towarzysze. Uciekająca nasza grupa zwróciła uwagę patrolu wojskowego, stojącego ra przejeździe kolejowym.

Nagle usłyszałem strzały i świst kul koło nas. Wtedy zaczęliśmy uciekać w małą ślepią uliczkę, po jednej stronie były wysokie parkany fabryki Poznańskiego, a po drugiej — małe domki robotnicze. Znowu usłyszałem strzały i świst kul. Moi towarzysze chcieli schronić się do małych domków, ale wydawało mi się, że będzie stamtąd trudno wycofać się i krzyknąłem, żeby biec dalej do końca uliczki, do parkanu. Dobięgliśmy wreszcie, ciągle ostrzeliwani, do parkanu końcowego. Parkan był wysoki, podsadziłem jednego z moich towarzyszy, który dostał się na górę i stamtąd wciągnął następnego. W ten sposób pod strzałami przegostaliśmy się na teren fabryki Poznańskiego zupełnie szczęśliwie. Tam byliśmy już zupełnie bezpieczni. Przeszliśmy przez teren fabryki i ostatecznie znowu przez parkany dostaliśmy się na którąś z uliczek Bałut. Teraz dopiero zauważyliśmy, że w miejscu jest straszna strzelanina. Uziwiło mnie to, gdyż nie rozumiałem jej przyczyny. Wyglądało to na masowy pogrom ludności. W tych czasach w Łodzi były porozstawiane po ulicach posterunki wojskowe dosyć gęsto. Rozpoczęły one bezładną strzelanicę na wszystkie strony. Ale, jak się potem dowiedziałem, szczęśliwie, było bardzo mało ofiar, gdyż zabito tylko jedną kobietę i rąiono jeszcze parę osób.

Effekt wybuchu jednak był słaby. Fremlowie i komisarze byli ranni, jednak nikt z nich nie został zabity. Zamach jednak odniósł swój częściowy skutek. Prowokatorzy poszli na pewien czas do szpitala.

Zamach ten, jak trzeba podkreślić, był rzeczywiście trudny do wykonania, ze względu na miejsce, gdyż ze wszystkich strony miałem policję i wojsko, a trzeba było wejść w sam środek ochrony wojskowej.



Może dlatego, został on „czysto” zrobiony, że byłem właśnie zupełnie sam.

Fremel Ryszard, kończąc już swoją karierę prowokatora, kiedy policja już mniej się nim interesowała, gdyż nie przedstawiał już dla nich wartości, napisał list do dyrektora policji Zujewa, w którym między innymi skarży się na swój los: „To oni postanowili rzucić pod nas bombę, którą w miesiącu maju 1907 roku rzucili na Konstancyńskiej ulicy około domu Nr. 43, od której brat mój otrzymał 86 ran, a ja otrzymałem przepuklinę w wielkim rozmiarze i błony w nosie popękały, na które ja do dzisiejszego dnia choruję, ale brat mój szybko wyzdrowiał i myśmy pracowali w dalszym ciągu“<sup>\*)</sup>).

Jak widać z tego listu, po wykurowaniu się powrócili do dalszej swej pracy, ale już im to tak łatwo nie szło. Młodszy August został zastrzelony 16-tu kulami w Łodzi na ulicy Piotrkowskiej. Potem Ryszard został katem w Łodzi w więzieniu i własnoręcznie powiesił 104 skazańców, między nimi własnego szwagra.

### DALSZA PRACA W MILICJI ŁÓDZKIEJ

Ponieważ zamach na Fremłów był zrobiony zupełnie „czysto”, t. j. policja nie miała żadnych śladów o sprawcy zamachu, więc postanowiłem pozostać w Łodzi i nie zmieniać zupełnie trybu mojej pracy w milicji łódzkiej.

Raz byłem świadkiem sceny, która zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Szedłem jedną z bocznych ulic, jak zwykle unikając ważniejszych ulic i bardziej ludnych. Nagle zauważyłem, że w głębi ludzie zwracają uwagę na kogoś. Była to jakaś uboga ubrana starsza kobieta, która z rozwianym włosom biegła trotuarem i ciągle coś mówiła do przechodniów. Dopiero teraz zauważyłem, że dalej posuwa się powoli policja i wojsko środkiem ulicy, a pośród nich jakiś młody robotnik, widocznie aresztowany. Biegająca kobieta, pewnie jego matka, przechodząc zadyszana koło mnie mówiła, że jej syn przecież nie strzelał, chociaż przy nim znaleziono rewolwer. Po bokach jezdni kroczyli jeden po drugim żołnierze z karabinami na ramionach, a po środku całej grupy, otoczony dla większego bezpieczeństwa grupą policjantów, młody robotnik. Widocznie był to jakiś ważny przestępca, jeżeli z taką ostrożnością prowadzono go do więzienia przez miasto.

Widok oszalałej z bólu starej matki zrobił na mnie duże wrażenie. Widać w niej było straszną rozpacz i bezbronność jej wobec porwania jej syna. Przeszedłem obok całej tej grupy też w poczuciu mojej słabości i zacisnąłem pięść.

Przez cały mój półroczny pobyt w Łodzi nie zmieniałem mieszkania przy ulicy Wólczańskiej. Konspirowałem się, gdyż wiedziałem, że policja wie o moim zamachu na von Płotto i że jestem bardzo poszukiwany. Policja nie dawała spokoju mojej matce w Warszawie, gdzie mieszkała z córkami przy ulicy Wareckiej. Dokonano tam ośmiu rewizji i najść nocnych w różnych odstępach czasu. Liczyli widocznie, że uda im się schwycić tam mnie, albo przynajmniej otrzymać wiadomość, gdzie się

<sup>\*)</sup> Nicpodległość, tom II, zeszyt 1 (3), str. 169.

znajduję. W każdym razie wiedzieli, że jestem w kraju. Gdy aresztowano jednego z mych znajomych, ofiarowano mu 5000 rubli za wskazanie mojego adresu.

Zwykle w mieszkaniu w Łodzi miałem 10-ciostrzałowy pistolet Mauzera i na noc brałem go pod poduszkę. Byłem zdecydowany, że w razie przyścia policji będę się bronić i starać uciec. Miałem nawet opracowany pewien plan ucieczki przez podwórko i ogrody. Zwykle w nocy słyszałem przejeżdżające patrole kozackie przez moją ulicę, pod oknami mojego mieszkania, które mieściło się na pierwszym piętrze. Wtedy słuchałem tylko, czy przejeżdżający patrol nie zatrzyma się przed naszą bramą. Jednej nocy słyszę właśnie zbliżający się nocny patrol, który przed moją bramą zatrzymał się; słyszę również głośno rozmowy pod oknami. Skoczyłem do okna i widzę, że kozacy zsiadają z koni, a policjanci rozglądają się koło bramy i patrzą na numer domu. Zaczęłem już pośpiesznie ubierać się i przygotowywać Mauzera. Potem usłyszałem, że kozacy ponownie siadają na konie i odjeżdżają. Widocznie zmylili sobie numer domu, gdzie mieli robić rewizję. Trzeba było przyzwyczaić się do stałej możliwości aresztowania mnie. I przyzwyczaiłem się do tego, byłem spokojny. Dopiero po dłuższym czasie po moim wyjeździe za granicę, zaczęły mnie prześladować zmory nocne.

Dopiero pod koniec mojego pobytu w Łodzi walki bratobójcze naszarpaneły moje nerwy. Trzeba było bać się nie tylko policji, ale każdego przechodnia. To było naprawdę męczące. Pamiętam, jak raz na ulicy zacząłem uciekać, gdyż zauważyłem, że jakiś mężczyzna przeszedł z drugiej strony ulicy na mój trotuar. Zdawało mi się, że będzie zaraz do mnie strzelać. Każde nasze zebranie odbywało się pod wróżeniem, że uzbrojeni endecy mogą na nas napaść i wystrzelać nas.

Pomimo tego jednak nasza praca organizacyjna była prowadzona w dalszym ciągu.

Aresztowania wzmagały się ciągle; dochodziły nas wieści o jakichś nowych prowokatorach, którzy szerzyli popłoch wśród naszych towarzyszy. Między innymi, wykłady i nasze zbiórki bojowe odbywały się w mieszkaniu u strażaka z fabryki Schelblera (nazywał się Borkowski). Był to człowiek bardzo zrównoważony i bardzo nam oddany. Mieszkanie jego było bardzo porządnie urządzone. Pamiętam, był to jeden duży pokój, zupełnie ładnie umeblowany, jak na stosunki robotnicze. Widać było staranność gospodarzy. Było to młode bezdzietne małżeństwo. Lubilem tego człowieka. Miałem do niego zaufanie. Raz jednego, gdy siedziem na zebraniu, które miało właśnie odbyć się u niego, zostałem zatrzymany przez jednego z bojowców, który zawiadomił mnie, żeby tam nie iść, gdyż siedzi tam policja i wszystkich tam przychodzących aresztuje. W parę dni potem dowiedziałem się, że policja znalazła u niego regulamin bojowy, część bomby i broń i że oskarża go o należenie do organizacji bojowej. Został on oskarżony i skazany na 8 lat katorgi, a żona jego na 4 lata katorgi<sup>\*)</sup>. Jednak straty podobne nie zrażały jeszcze innych, nikt nie usuwał się od naszej roboty bojowej, przeciwnie, należenie do nas zawsze było zaszczytem i przywilejem.

<sup>\*)</sup> Jak obecnie stwierdziłem, broń i inne części przyniosła do Borkowskiego Helena Wagnowska (z domu Grębowska).

Zdarzały się też i mniejsze roboty bojowe, jak np. konfiskaty książeczek paszportowych w urzędach gminnych. Otrzymałem polecenie od ŁKR dostarczenia blankietów paszportowych, które potrzebne były do wystawiania towarzyszom naszym fałszywych paszportów. Zakomunikowano mi, że najlepiej będzie zrobić to w pewnej gminie o 10 km. za Pabiankami. Było to zdaje się w lutym; leżał wtedy wielki śnieg na polach i był mróz. Akcję taką traktowaliśmy więcej jako akcję przyjemnościową, przejazdową sankami, aniżeli akcję bojową.

Do tej roboty zaprosiłem trzy towarzyszki z agitacji: Wandę, Jadwigę i Heryżankę (nie pamiętam jej pseudonimu), następnie Łysego (Dąbrowskiego) i jeszcze jednego bojowca. Było więc nas sześć osób. Nie wiasty nie umiały zupełnie strzelać, ale dostały brauningi. Wyjechaliśmy tramwajem do Pabianic, gdzie wynająłem dwie pary sanek z dobrymi końmi. Ruszyliśmy przy dźwiękach dzwonków. Był piękny słoneczny dzień zimowy. Miło było jechać sankami przez las zasypany śniegiem. Zajechaliśmy przed gminę. Zostawiłem bojowca przy sankach, żeby pilnował ich i nie dał im odejść. Reszta towarzystwa weszła do gminy, a ja na ich czele. W biurze gminnym był pisarz, jego młody pomocnik i kilku interesantów. Wejście nasze wzbudziło od razu pewne zdziwienie. Dopiero gdy oświadczyłem stanowczym głosem, że przychodzimy w imieniu PPS po blankiety książeczkowe, wszyscy zrozumieli, że mają do czynienia z siłą i przemocą, której należy się podporządkować. Nie widziałem jednak w oczach wszystkich tych ludzi strachu lub niechęci, przeciwnie — może nawet sympatię, do której bał się otwarcie przyznać. Na wszelki wypadek postawiłem przy drzwiach Heryżankę z brauningiem w rękę. W duchu śmiałem się, gdyż napewno nie potrafiłaby strzelić z niego.

Zażądałem kluczy od kasy, na co otrzymałem odpowiedź, że są u wójta, który mieszka w tej samej wsi. Posłałem wtedy Łysego ze stróżem gminnym po wójta, a sam wziętem się do niszczenia portretów carskich, wiszących szeregami na ścianie. Połukłem szkła i podarłem portrety.

Nadszedł Łysy z wójtem, który bez żadnych trudności otworzył kasę, z której zabrałem blankiety paszportowe. Leżały tam też pieniądze, dlatego zakomunikowałem głośno, że pieniądze gminnych nie bierzemy.

Zauważyłem, że pomocnik gminny uśmiechał się i był zadowolony z tej naszej akcji „bojowej”.

Zabrawszy książeczki, zasiadłem przy biurku i kazałem sobie podać księgę „odchodzącej” poczty, gdzie napisałem o skonfiskowaniu blankietów i że pieniądze nie zostały ruszone.

## KONIECZNOŚĆ MOJEGO WYJAZDU ZA GRANICĘ.

W końcu pierwszej połowy 1907 roku odczuwało się coraz bardziej upadek rewolucji. Strajki polityczne nawet udawały się, ale nie miały one widoków przejścia w szerszą i ostrzejszą formę walki, która ostatecznie powaliłaby carat i oswobodziłaby kraj nasz z niewoli.

Ruch robotniczy podzielnym był na liczne obozy, zwalczające się wzajemnie. Oprócz PPS Lewicy w Łodzi działała wtedy wśród robotników Fr. Rew. PPS i SDKPIL. Jednak w Łodzi partia ta nie miała większych wpływów wśród robotników. Przeważnie ogół szedł za PPS. Rozwijały



się wtedy silnie wpływy Narodowej Demokracji przez Narodowy Związek Robotniczy. Wpływów tych nie można było lekceważyć, osłabiły one poważnie rewolucyjny ruch socjalistyczny. Wpływy ze składek robotniczych na rzecz PPS. zmniejszały się. A trzeba było utrzymać wielu agitatorów, którzy nie mogli zarobkować na swe utrzymanie. W Łodzi było około dziesięciu ludzi na utrzymaniu partii. Diety nasze były tak już skromne, że ledwie można było utrzymać się. Czasami nie jadało się już kolacji, albo obiadu, chociaż życie wtedy było tanie.

Zaczęto naradzać się w LKR-ze nad zredukowaniem ilości funkcjonariuszów. Ponieważ mój pobyt stawał się w Łodzi coraz bardziej niebezpieczny, więc zostało zdecydowane, że wyjadę za granicę. Otrzymałem małą kwotę, wysiarczając zaledwie na kolej do Krakowa, i wyjechałem. Opuszczając Łódź, byłem przekonany, że wyjazd mój jest tylko czasowy, gdyż pomimo pewnych wyraźnych objawów upadku rewolucji, wierzyliśmy wszyscy, że walkę rozpoczętą prowadzić dalej będziemy. Wprost nie mogłem sobie wyobrazić, że ja mogę zajmować się czym innym, niż rewolucją.

Miałem wyjechać przez stację graniczną Granica na linii kolei Wiedeńskiej (dziśiejsza stacja Maczki). Tam mieliśmy towarzyszy, którzy ułatwiali nam nielegalne przejście granicy. Dworzec tej stacji znajduje się nad Białą Przemszą, która to rzeczka stanowiła wtedy granicę pomiędzy Rosją a Austrią. Manewrujące rosyjskie pociągi na stacji Granica musiały przejechać przez most graniczny na stronę austriacką, a żeby natrafić na odpowiednią zwrotnicę. Wykorzystywano właśnie tę okoliczność dla „szwarcowania się“ przez granicę. Wskakiwano na dworcu do wagonu towarowego i po przejściu pociągu przez most kolejowy wskakiwano po drugiej stronie granicy. Miałem i ja w ten sposób przekroczyć granicę. Przyjechałem do Granicy i zgłosiłem się do jakiegoś mechanika stacyjnego, naszego towarzysza. Siedziałem u niego chyba ze trzy dni, bo akurat nie zestawiali pociągów, któreby przekraczały granicę. Czekanie było bardzo nudne, bo nie było można wychodzić z domu, gdyż na granicznym dworcu szpiclowano każdego nowego przybysza. Nareszcie gospodarz mój zakomunikował mi, że dziś już napewno będą zestawiać pociągi. Rzeczy żadnych ze sobą nie miałem. Stałem przy wagonach towarowych i na dany sygnał wskoczyłem do pustego wagonu towarowego, zaraz też zamknąłem za sobą drzwi. Pociąg powoli ruszył. Przez szparę w drzwiach widziałem, że przejeżdżamy most i mijamy posterunek straży granicznej. Ujechaliśmy jeszcze ze 300 kroków. Wskoczyłem z wagonu i już pewnym krokiem skierowałem się do austriackiej stacji Szczakowa. Zadowolony, że już przekroczyłem granicę, na dworcu wypytałem się o pociąg do Krakowa i poszedłem do poczekalni.

Po jakimś czasie podszedł do mnie jakiś pracownik kolejowy w płaszczu kolejarzkim i oświadczył mi, że wobec tego, że przejechałem granicę jego pociągiem, to mu się za to coś należy. Ponieważ miałem bardzo mało pieniędzy, prawie tylko tyle, ile na przejazd do Krakowa, oświadczyłem mu, że nie mam pieniędzy i nic mu nie dam. Osobnik ten odszedł, mówiąc: „Dobrze, to zobaczymy“. Wkrótce zjawił się jakiś cywilny i z bardzo pewną miną oświadczył, żebym się za nim udał. Zrozumiałem odrazu, że to pan z policji. Poszliśmy do biura komisarza po-

licji dworca. Był to Polak w mundurze komisarza, zrobił na mnie wrażenie inteligentnego i porządnego człowieka. Instynktownie odczułem, że on nie zrobił mi krzywdy. Obawiałem się zmuszenia mnie do powrotu przez granicę. Oświadczyłem mu odrazu, że jestem politycznym przestępcą i nie mogę wracać do Rosji. Komisarz bardzo grzecznie oświadczył mi, że jednak musi mnie traktować, jako nielegalnie przybywającego do Austrii, i żebym się nie oddalał ze stacji i czekał na decyzję. Zannotował moje nazwisko z fałszywego paszportu na nazwisko Fijałkowski. Na nocleg wyznaczono mi jakąś żydowską oberżę, gdzie przenocowałem. Rano zaraz poszedłem na dworzec, czekając na mój los. Komisarz powiedział mi, żebym znalazł kogoś ze znajomych obywateli austriackich, którzy zechcieliby zaręczyć za mnie. Przypomniałem sobie, że takim specjalistą od ręczenia za pepeesowców był adwokat Marek. Komisarz poradził mi, żebym do niego zatelegrafował o poręczeniu. Tak też zrobiłem. W parę godzin nadeszła depesza, poręczająca za mnie. Byłem wolny. Fakt ten świadczy, że władze austriackie w takich wypadkach bardzo względnie i przychylnie nawet traktowały nielegalne przejście granicy. W ogóle stosunek ich do emigrantów politycznych był poprawny. Przed wyjazdem dowiedziałem się nazwiska kolejarza denuncjanta, który mógł spowodować wydanie mnie w ręce policji rosyjskiej. Był to niejaki Nosal. Prawdopodobnie nigdy nazwiska tego nie zapomnę.

W ten sposób w lipcu 1907 r. wymigrowałem z Królestwa — na 11 lat. A więc znalazłem się w Krakowie bez określonego celu i planu. Nie miałem jeszcze czasu nad takimi rzeczami się zastanawiać. Przede wszystkim wyobrażałem sobie, że wyjazd mój jest tylko czasowy i że znowu powrócę do „roboty“; przecież rewolucja nie jest jeszcze skończona i zwycięska.

W Krakowie zastałem już całą masę pepeesowców, prawicowców i lewicowców. Widać tam było obumierającą rewolucję. Byli to ludzie albo poważnie już zasypani, albo wprost nie mający za co egzystować w Królestwie. Ja wyjechałem z jednego i drugiego względu. Zaczętem się płać z innymi towarzyszami po Krakowie. Na utrzymanie dostawałem 30 halerzy austriackich, czyli 15 centów, dziennie z Kasy Emigracyjnej. W tym czasie zbliżyłem się do Adama Szczepanika, również emigranta, dawnego towarzysza z Łodzi. Był on niedawno wypuszczony z więzienia. Dostałem mieszkanie po dawnym koledze szkolnym Walickim, który studiował rolnictwo w Krakowie i właśnie wyjechał na wakacje. Ulokowałem się więc w jego mieszkaniu na Dębnikach razem ze Szczepanikiem. Na śniadanie nie starczyło, trzeba więc było jak najdłużej spać. W południe szliśmy do garkuchni Tow. Dobroczynności, gdzie za dziesięć halerzy można było dostać porcję kartofli, lub kaszy, oblanej sosem, niby mięsny, no i do tego kawałek chleba. Za dwa halerze można było jeszcze napić się herbaty z cukrem. Na kolację jadło się identycznie to samo, więc wydatki nasze na jedzenie wynosiły 24 halerze dziennie. Pozostawało jeszcze 6 halerzy na naftę, mydło i inne. Po paru tygodniach takiego odżywiania się, byliśmy porządnie wyglodzeni. Chodziliśmy zało dużo na różne zebrania partyjne, gdzie odbywały się bardzo energiczne dyskusje pomiędzy prawicowcami i lewicowcami na temat rozłamu w PPS. Odbywały się również zebrania sekcji krakowskiej PPS. Ze starych działaczy, pamiętam, siedzieli wtedy w Krakowie: dr. Nelken,

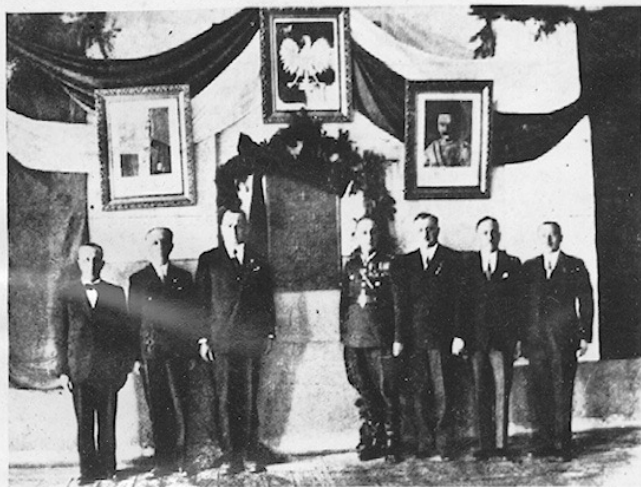
# 1906. Po udanym zamachu na pułkownika von Płotto

Hemplowi udało się wydostać z Radomia nocą pociągiem towarowym. Natomiast Stanisław Werner nie wytrzymał napięcia i rzucił się do panicznej ucieczki, popełniając jednocześnie ogromny błąd kryjąc się we własnym domu gdzie szybko został wytropiony przez carską żandarmerię. Po rewizji w domu młodego rewolucjonisty znaleziono broń oraz ponad 80 sztuk nabojów. Werner już na pierwszym przesłuchaniu przyznał się do udziału w zamachui posiadania broni. Po trzydniowym procesie skazano go na karę śmierci.

Wyrok wykonano 20 grudnia 1906 roku nad ranem w Lesie Kapturskim.

Stanisław Werner Domagał się by rozstrzelano go z odwiązanymi oczami, jednak jego prośby nie spełniono. Ciało Wernera wrzucono do dołu wykopanego na polanie, na której go rozstrzelano. Miał 17 lat.

Na wieść o śmierci swojego towarzysza robotnicy radomskich fabryk rozpoczęli strajk powszechny. Natomiast starania rodziców Stanisława Wernera o to by ich syna pochowano na cmentarzu spotkały się z negatywną reakcją władz, jak decyzję tłumaczył Warszawski Generalny Gubernator generał Skałon – obawiano się ogromnych demonstracji przy grobie Wernera. Tak więc do dziś nieznane jest miejsce, w którym spoczywa młody buntownik.



*W 30-lecie „Handlówki” w Radomiu. Grupa uczestników piątki warszawskiej b. Org. Bojowej (1905 — 1907): J. Pieczynis, S. Rodkiewicz, S. Hempel, W. Zbrowski, R. Machnicki, T. Latowski, J. Gruszczyński (do art. Hempla).*



**Stanisław  
Werner**

Lata międzywojenne - zamachowiec Hempel i towarzysze z Organizacji Bojowej PPS trzymają wartę przy tablicy upamiętniającej Stanisława Wernera rostrzelanego po zamachu .

## Inne tablice w Radomiu



Inny zamach - w Łodzi na braci Fremlów.

S. Hempel stoi w miejscu, gdzie w r. 1907 rzucił bombę  
(na ulicy Konstantynowskiej 43)

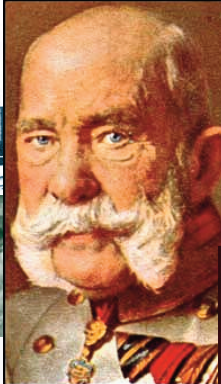
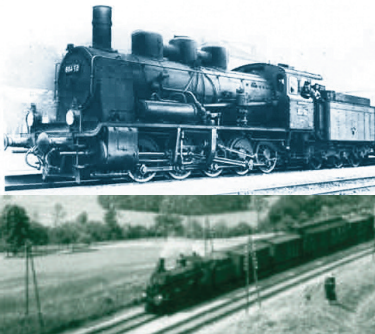




Więźniowie polityczni w więzieniu łódzkim (1906) na tle szubienicy. W środku naczelnik więzienia Modzelewski, a na prawo w pelerynie kat i prowokator Froemel, który uratował się z zamachu wykonanego przez Hempla. Ryszard Froemel własnoręcznie powiesił 104 skazańców m. in. własnego szwagra.

Jego brat August też wylizał się z ran po eksplozji bomby, ale potem zastrzelono go 16-tu kulami na ul. Piotrkowskiej.





# Ewakuacja do CK



Eryk (Monic), Drozdowicz, Kempnerówny, Krystyn (Jarząbkiewicz), Bolesław (Felix Kon) i jeszcze wielu innych.

Lewica PPS zaczęła wtedy wydawać swój organ teoretyczny „Myśl Socjalistyczną”. Pamiętam, że był wtedy w Krakowie Lenin i wygłosił w lokalu Kasy Chorych referat rosyjski o ówczesnych zadaniach rewolucji.

Wszyscy z mojego otoczenia dowodzili, że reakcja szerzy się coraz bardziej i że obecnie nie ma żadnych widoków na wzmożenie się ruchu rewolucyjnego. Przypominam sobie moją rozmowę z tow. Drozdowiczem na ławce na plantach, jak dowodził, że przegraliśmy rewolucję i że zanosi się na długą reakcję. Był w bardzo pesymistycznym nastroju. W jakiś czas potem odebrał sobie życie. Ruch rewolucyjny w wielu miejscach zwyrodniał się w bandytyzm. Szerzyła się prowokacja na tle aresztowań i wyłapywania rewolucjonistów. Ludzie upadali na duchu, a słabsi stawali się prowokatorami i zdrajcami. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydowałem się pozostać w Galicji.

Nareszcie udało mi się skomunikować z moją rodziną i narzeczoną, która przyjechała do Krakowa. Narzeczona moja, Wiktorja Ablamowiczówna, również przez jakiś czas brała udział w ruchu w związkach zawodowych w Warszawie. Raz nawet w Warszawie przewoziła dorożką bomby przy planowaniu jakiegoś zamachu.

Postanowiliśmy razem wyjechać do Lwowa, gdzie ja miałem zacząć studia uniwersyteckie przyrodnicze. Liczyłem też, że we Lwowie prędzej będziemy mogli zarobkować. Zacząłem tam uczęszczać na wydział filozoficzny, gdzie miałem specjalnie studiować biologię. Wyobrażałem sobie, że będę mógł oddać się pracom naukowym. Zupełnie wtedy nie liczyłem się z praktyczną stroną życia i nie myślałem o zarabkowaniu w przyszłości.

Zacząłem więc studia, chodziłem na wykłady fizyki, chemii, biologii, na ćwiczenia praktyczne i do laboratoriów.

Wzięliśmy ślub i już jako małżeństwo pędziliśmy dalsze nasze życie. Żona moja zaczęła zarabiać lekcjami na nasze utrzymanie. Ja tylko studiowałem.

W Galicji czy to za granicą wszędzie zawsze można było spotkać sekcje PPS albo oddzielnych pepeesowców. We Lwowie istniała też sekcja PPS. Nestorem jej był serdeczny opiekun emigracji politycznej, inż. Zygmunt Chmielewski. W domu ich był wieczny hotel pepeesowski, zawsze ktoś spał tam albo na kanapie, a jeżeli już wszystkie kanapy były zajęte, to na materacach wprost na podłodze. Na obiedzie, czy kolacji, zawsze był tam jakiś gość nasz. Posiedzenia naszej sekcji PPS, odbywały się w biurze elektrotechnicznym AEG, gdzie dyrektorem był nasz towarzysz inż. Wilhelm Hertz. Do sekcji należeli wtedy: Felek (inż. Ciszewski), Wera (Koszuńska), Beniaminek (Kazimierz Stamirowski), Proboszcz (Szczepanik Adam), Tamara, Bładzik i inni.

Ponieważ przybywali ciągle nowi emigranci, musieliśmy wynająć specjalny lokal, coś w rodzaju schroniska dla emigrantów. W tej tak zw. „komunie” mieszkało około dziesięciu emigrantów. Nie zawsze oni tam żyli ze sobą w zgodzie; wynikały różne nieporozumienia.

W zimie 1907 roku zauważyłem, że za mną widać się jakieś podejrzane indywidualia. Ta ciągła opieka stała się dla mnie dosyć dokuczliwa.

Policja rosyjska (rafila już widocznie na mój ślad. Zmieniałem mieszkanie, nawet wyjechałem z żoną na jakiś czas do Dublan, gdzie mieszkaliśmy prawie dwa tygodnie. Po powrocie typy zjawiły się, krążyły dookoła mnie. Wobec tego, że wiadomem mi było, że mój zamach na von Piotto w Radomiu jest dokładnie znany policji rosyjskiej, można było przypuszczać, że rząd rosyjski zażąda wydania mnie, jako posądzonego o zabójstwo.

Tak się też wkrótce stało. W dniu 1 kwietnia 1908 r. otrzymałem wezwanie z policji do stawienia się w ich biurze. Zaniepokoiło to mnie trochę. Spotkałem się w kuchni studenckiej z Romanem Krukowskim (pseud. Chrystus), też emigrantem, który powiedział mi, że dostał wezwanie do policji, gdzie oświadczone mu, że jest wydany z granic państwa i że winien w ciągu ośmiu dni opuścić teren monarchii austriacko - węgierskiej. Zrozumiałem wtedy cel mojego wezwania. Przez posła Diamanda, który zaraz połem informował się w policji o mnie, dowiedziałem się, że rząd rosyjski przesłał do Wiednia żądanie wydania mnie. Sprawa była w toku. Rząd austriacki, nie chcąc mieć kłopotów, jakie przy wydaniu emigranta zwykle nastręczają się, wydał polecenie policji lwowskiej wydalenia mnie z granic państwa.

Nie długo namyślając się, wyjechałem zaraz przy zachowaniu wszelkich możliwych sposobów, ażeby zmylić bacność moich opiekunów.

Wskutek wydalenia nas, 8 kwietnia odbył się wiec akademicki protestacyjny pod przewodnictwem p. Rataja. Referował Kukiel, który proponował rezolucję, protestującą przeciwko gwałtom policji lwowskiej. Polska frakcja socjalno - demokratyczna w osobie posła Hudca wniosła interpelację do parlamentu wiedeńskiego w sprawie naszego wydalenia. W jakiś czas po moim wyjeździe okazało się, że szpiegowaniem emigrantów we Lwowie zajmował się niejaki Stanisław Janicki. Ostrzeżenie o nim zjawiło się w prasie lwowskiej.

Jechałem ze Lwowa przez Budapeszt do Szwajcarii, jako do kraju, gdzie, jak zdawało się, jest najwięcej bezpieczeństwa dla emigrantów politycznych. W Budapeszcie zatrzymałem się na dwa dni, ażeby odwiedzić tamtejszą sekcję PPS i polskie robotnicze stowarzyszenie „Sila”. Wygłosiłem tam odczyt na zebraniu stowarzyszenia. Potem przyjechałem do Zurychu. I tu trafiłem do sekcji PPS. Dowiedziałem się tam, że odbywa się właśnie w Zurychu zjazd Związku Młodzieży Postępowej. Była to organizacja młodzieży akademickiej polskiej w całej Europie zachodniej, skupiająca socjalistów wszelkiej przynależności partyjnej i wszelkiego rodzaju postępowców poza endecją.

Na zjeździe byli pepeesowcy lewicowi i prawicowi oraz esdecy. Spotkałem tam i poznałem Dutlingera Edwarda oraz Mierzejewskiego Henryka (działacza z radomskiej PPS, więzień polityczny, pseud. Kulawy). Obaj byli studentami w Liège (Belgia). Grupę Frakcji Rewolucyjnej na zjeździe stanowili Kukiel ze Lwowa (obecny generał) i Sosnkowski Kazimierz (obecny inspektor armii). Byli delegaci stowarzyszeń rozsianych po całej Europie. Był nawet delegat z Petersburga. Jako gość, była na zjeździe Krahelska, która brała udział w zamachu na Skaloną.

Były tam wielkie debaty nad deklaracją ideową Związku. Każda z grup chciała wyrzucić swój wpływ, a zawsze kończyło się, że jedna z nich majoryzowała zjazd. Tym razem lewica PPS miała większość.



Zatrzymałem się kilka dni w Zurychu. Po zjeździe pojechaliśmy statkiem do Rapperswilu. Ze statku podziwialiśmy góry. Był to mój pierwszy pobyt za granicą. Wydawało mi się, że jestem w jakimś zupełnie innym świecie, gdzie wszystko jest piękne, czyste, porządne. Ludzie wyglądają wszyscy zdrowo i porządnie ubrani. Góry, otaczające Zurych, wydały mi się przepiękne.

Z Mierzejewskim i Dutlingerem razem wyjechaliśmy do Liège. Po drodze zatrzymaliśmy się w Bazylei dla zwiedzenia muzeum Boecklina.

W Liège zameldowałem się na nazwisko Ciszewskiego, od którego dostałem paszport. W kolonii polskiej też uchodziłem za Ciszewskiego. Nosiłem to nazwisko przez kilka miesięcy. Dopiero, gdy miałem wstąpić na uniwersytet, musiałem pwrócić do mojego właściwego nazwiska, gdyż nie mogłem zapisać się nie pod moim nazwiskiem. Ponieważ w policji meldowałem się osobiście i tam już mnie znali, jako Ciszewskiego, a trzeba było teraz zameldować się na właściwe nazwisko, należało tak zainscenizować nowe zameldowanie się, żeby mnie nie poznano na policji. Wyjechałem z żoną do miasteczka pod Liège, gdzie burmistrzem był orzecjalista. Tam, przez stosunki towarzyszy belgijskich, zameldowaliśmy się na nazwisko własne. Na podstawie tego meldunku już bez żadnych innych dokumentów można było się zameldować w policji leodyjskiej. Teraz tylko trzeba było zmienić swój wygląd, żeby mnie nie poznano, że już raz się meldowałem. Zapuściłem więc brodę, ostrzygłem krótko włosy i założyłem okulary. Tak ucharakteryzowany zjawiłem się w policji, gdzie przyjęto mój meldunek. Teraz w kolonii wystąpiłem pod moim właściwym nazwiskiem.

Ponieważ przyjechałem do Liège podczas wakacji szkolnych, a miałem zamiar wstąpić na uniwersytet, miałem więc jeszcze trochę wolnego czasu, więc postanowiłem wolny czas wykorzystać na pracę zarobkową. Zacząłem szukać pracy, jako robotnik w fabryce. Poduczyłem się trochę po francusku, więc mogłem już samodzielnie obracać się wśród Belgijczyków.

Dostałem się jako monter ślusarz do warsztatów ślusarskich do fabryki wyrobu rur kanalizacyjnych w Liège. Nie było jeszcze wtedy ośmiogodzinnego dnia pracy. Trzeba było stawiać się do roboty o godzinie szóstej rano i pracowaliśmy do szóstej wieczorem z godziną przerwą na obiad. Mieszkałem bardzo daleko od fabryki. Wstawałem przed piątą rano, a wracałem o siódmej wieczorem do domu zmęczony i wyczerpany. Wtedy dopiero poznałem, co to jest życie robotnika. Żyłem tylko pracą i spaniem, bo na inne sprawy nie miałem ani czasu, ani ochoty. Pracowałem w ten sposób dwa miesiące.

Potem przyjechała żona, zapisałem się na uniwersytet i zaczęło się znowu życie polskiego studenta za granicą, urozmaicone bardzo bujnym i żywym życiem stowarzyszeniowym młodzieży. W Liège spędziłem siedem lat, aż do wybuchu wojny światowej. Korzystałem tam z opieki państwa belgijskiego. Tam bowiem ręce rządu rosyjskiego nie odważyły się sięgnąć po mnie. Przez cały czas mojego pobytu tam nie miałem żadnych trudności. Za to zachowuję w sercu wdzięczność i sympatię dla Belgii.



Stanisław Hempel



S. H. z żoną Wiktorią i synkiem Kazimierzem (4 dni)  
(trzeci rok emigracji, 1910. Knocke, Belgia)





*Grupa emigrantów politycznych ze Fryburgu: 1) Kowalski (Grzech), 2) S. Hempel,  
3) Reich, 4) Joachim Hempel.  
(do artykułu S. Hempela).*



*Wacław Zbrowski.  
(Braciszek).  
(do artykułu S. Hempela).*

*Ciąg dalszy  
życia  
Stanisława  
Hempla  
w części  
Biografia*